Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 49. Poznań, dnia 4. Grudnia. 1843.

POEZYA.

Dumka starca przedzgonna.

Wróć piękny Maju wróć!
Dolinę ustrój w kwiecie,
Jak zimno, mroźno w świecie!
Chodź miłe dziecię, nuć:
»Kiedy niedola nas gniecie,
Wróć piękny Maju wróć!«

Kiedym w kolebce śnił,
Matka sypała w nią kwiecie,
Anioł mię w nieba wzbił,
Do stóp mi kwiaty miecie;
Jakże tam cudnie śnił
Kwiat — to swobody kwiecie.

Z kolebkim wyszedł w świat
Młode, wesołe dziecię,
Ale śród młodych lat,
Nie kwitło piękne kwiecie!
Płakałem lubych strat,
Biedne niedoli dziecie!

Z dziecka, w młodzieńcam wzrósł
W oczach mi płonął żar,
Pędzon od błogich mar,
Duch mię do boju niósł
Swobody nęcił dar,
Jam w bojów ogniu wzrósł.

Dziś starca zsiwiałą skroń
Śmierć do grobowca zmiecie;
A martwa, zimna dłoń
Chwyta, niewoli dziecię!
Swobody Maju wioń
Na biedne moje dziecię!

Ale nim śmierć w grób zmiecie
Zanucę lubą pieśń;
A ty mnie drogie dziecie
Wrzucisz w grobową cieśń;
Nim wrzucisz jeszcze mi nuć:
»Swobody Maju wróć!«

Fr. Żygliński.

Piętnaście lat życia Mazurki.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

II.

Adeli dzieje.

Nie uwierzycie jak piękną jest Pilica! Jéj kwietnie błonia i zielone wzgórza, spoglądać się zdają smutno a tęskno za swą towarzyszką. Pilica błyska srebrném swojém łonem, i gra kryształami, — i tak swawoląc wlewa się w namiętne łono burzliwéj Wisły: tam dopiero hidra spalonych piasków owija ich nadobne piersi; przestrzeń wielka, równa, nie uśmiechnie się ni jedném majowém wzgórzem, tu rozlewają swe brudne wody w ponurą dal, płynąc już leniwo, sępno, jednakowo.

Aby oddychać dziewiczéj Pilicy urokami, o milę od jéj ujścia w Wisłę, siadła piękna wioska w dolinie: jedném ramieniem wsparta o majowe wzgórza, uwieńczyła się lasem dębów i sosen; na czole jéj srebrzy przepaska, — to brzozowe mosty nad przepaściami rzucone; drugie swoje ramie o Pilicę oparła, i ubrała je w piękne sielskie chaty; — jakby za serce, wzięła do łona dworzec pański murowany, a ogród strojny w kwiaty gwoździków, róż i konwalij, wyglądał jak bukiet przy boku godownika. Za ogrodem poczynał się las gęsty, i jak rozpuszczony płaszcz, wił się w fałdy po wąwozach i górach, aż w głębi za nieboskłonem opadał niewidzialny.

Wioskę tę zamieszkiwał Edmund Z. jéj właściciel, człowiek młody, dorodny: ten odebrawszy gruntowne wykształcenie, ubogacony skarbami nauki, całą duszą pokochał wsi powaby: umiał on poznać się na tém, że jedno w cichéj zagrodzie, prawdziwe i trwałe szczęście się znachodzi. Dzieląc swój czas pomiedzy czytanie, łowy i zajęcie się gospodarstwem, nigdy nie popadał udręczeniom nudy, na którą tyle skarżą się zazwyczaj wiosek mieszkańcy. Dobrowolne próżniactwo, naraża ich na ciężkie cierpienia; właśnie jakby pono-

sili karę za to, że śmią bezczynni we wszystko opływać i trwonić ze zbytkiem krwawą pracę swych kmieci. Edmund, podzielał niejako, trudy swoich robotników: bo kiedy w czasie letniéj spieki, pracować im przychodziło, on ich uprzejmą ożywiał rozmową, i sił im dodawał nowych, przy pracujących trawiąc często dnie całe. Sąsiedzi, nazywali go odludkiem, ale on dla siebie najwyższe szczęście upatrywał w tém tylko, aby ze swemi kmiotkami przestawać jak można najwięcéj: kiedy inni czas trwonili na grę, pijatyki i zwady po miastach, — on zajmował się wtedy, podźwignieniem sielan swoich z niedoli. Tego mu łatwo dokazać przychodziło, gdyż praca ochotna, na podziw mienie jego zwiększała; a przyzwoita oszczędność, sprowadzała dla poddanych błogie wczasy, na głowę Edmunda — dziękczynne błogosławieństwa.

Edmund lat trzy od ojca śmierci, którą o rok skon matki poprzedzała, spędził wśród tych słodkich roskoszy, jakie znajdujemy w uszczęśliwianiu współbraci, kiedy wyraz dziękczynnych twarzy, przemawiać się zdaje, że nasza dobroć obraz doskonałości samego Bóstwa, przed oczy im stawiła. Te błogie chwile w życiu Edmunda, często przybywałem z nim podzielać; gdyż szkolna jeszcze przyjaźń, oraz uczucie uwielbienia jakie powziąłem dla niego, ku sobie nas zbliżały. Chwile spędzone w domu Edmunda, uważam za najszczęśliwsze dni mojego życia, a urok ich, chyba przy tobie, Julijo znowu się dla mnie powtórzy! —

Z témi wyrazami, Wacław zwrócił wzrok pałający, na słuchającą go bacznie oblubienicę; w oczach jéj było niebo, — lecz westchnęła, jakby nie miała dość pewności uręczyć Wacława, że miłość jéj serca, przypomni mu serce straconego przyjaciela.

— W majętności Edmunda — Wacław opowiadał daléj — w pięknéj ustroni leśnéj, stała chatka z ogródkiem strojnym kwiatów grzędami, było to mieszkanie leśniczego. Stary żołnierz, z zawiesistym wąsem, na który już szron występować poczynał, ozdobiony krzyżem jeszcze w Legijonach, już od lat kilku wdowiec, z córką swą, piękną czternastoletnią — dziewczyną, w domku tym gospodarzył, mając tę szczupłą zagrodę nadaną sobie od dziedzica. Legijonista, miał jedyny obowiązek dozorowania lasów, a moralne prowadzenie się włości całéj, służbę jego bardzo spokojną czyniło, i zostawiało mu dość wczasu, po owych wojennych trudach, w jakich się tyle stary sponiewierał, nie umiejąc (jak i inni jego współziomkowie) odróżnić, — świętéj sprawy swojéj Ojczyzny, od interesu dumy cesarza. —

Piękna Adela, córka leśniczego, wzrastała w téj leśnéj ustroni jak nadobny kwiatek, zostawiony pieczy samych sylfów. Po matce, wzięła czułe serce w spuściźnie, duszę bogobojną — która to w chwilach zapału, kobietę przez modlitwę z niebem jednoczy. Adela, w obrazie swego cnotliwego ojca, widziała szczęście swoje, a w usługach dla niego pełnionych — upatrywała rozkosz najwyższą. Serce jéj, zdobne przyrodną cnotą, unikało rówienniczek, gdyż między niémi nie widziała i jednéj, któraby zdolną była uczucia jéj zrozumieć i podzielać. Dla tego Adela, wtedy tylko z niémi przestawała, gdy w pobliskim kościołku, w ich gronie, modliła się do Boga; ale jak tylko wyszła ze świątyni, na lilijowe jéj lica, wybijał wstydu rumieniec, chroniła się przed wzrokiem każdego mężczyzny: gdy tymczasem jéj towarzyszki, stawały spokojne, szukając pałającą źrenicą jakiego wielbiciela. Adela w takiéj chwili zawsze znikała, uchodząc co prędzéj do lubego domku, i cała przelękniona, dopiero w uściskach posiwiałego ojca, odetchnęła swobodnie. To też rówiennice Adeli, mocno jéj nienawidziły, przezywając ją — Dziczką z knieji. Kobiety, mimo całéj dobroci serca, tkliwości swych uczuć, — są nielitościwemi sądząc o innych, przechodzących je urodą lub cnotą.

Tak w lubym spokoju dni Adeli płynęły, gdy raz, w samotnych swoich przechadzkach, Edmund pod domek leśniczego zabłądził. Dziennym upałem znużony, rzucił się na piękném wzgórzu, porosłém macierzanką i miękiemi mchami. Słońce właśnie co zachodziło, a złote jego promienie rozprysły się połamane o srebrne łona brzozów, co przed nim i nad jego głową, z rozplecionémi warkoczami płakały. Lubém było dumanie Edmunda: przed nim bogata ziemia, kraina dostatków i krasy, tu Bóstwo hojnie skarby wysypało na swego ulubieńca człowieka. Dumając tak, Edmund byłby szczęśliwym może, ale po niebie majaczyła jedna, czarna, nieprzejrzana chmura — stanęła między nim a słońcem ... i zrobiło się sępno, tęskno w myśli młodzieńca; — bo taka sama chmura ćmiła niepogodą jego ojczysta ziemię, sypiąc ustawicznie gromy i burze, na smętne czoła cierpiących współbraci jego.

Tak dumał Edmund, i wzrokiem tęsknoty powiódł w około siebie, po ziemi bogatéj, — a zalanéj krwią i potém smaganych knutami kmieci. W ogródku leśniczego, krzątała się piękna ogrodniczka: umocniała kwiatki, zasilając je wodą lub wspierając co słabsze na kijkach drewnianych. Bujne marchwie, ogórki i inne ogrodowiny, rozesłały się u stóp dziewi-

cy jak piękny kobierzec z zieleni; a ona po nim lekką przesuwając się nóżką, pocieszyła wszystko, wlewając nowe życie w każdą roślinę, w każdy pączek.

Słońce żegnało ziemię promieńmi ze złota: Adela splotła obie rączki i zawiesiła je nad czołem, patrząc w niebo ciekawa, jak długo jeszcze tęsknić za ojcem będzie? W takiéj postawie, oczy jéj spotkały Edmunda, co pod brzozami spoczywał: drzenie mimowolne wstrząsnęło dziewicą, — Edmund powstał tymczasem i przybliżył się ku ogródkowi. Ona pomięszana, nieruchoma w miejscu pozostała, straciwszy wszelką zmysłów władzę. Edmund pytał jéj łagodnie, czy ojciec zawsze tak długo bawi w kniei? i czy się nie lęka sama przebywać w téj leśnéj pustyni? Zadał jéj jeszcze innych pytań kilka, z których na żadne nie odebrawszy odpowiedzi, piękną Sylfidę pożegnał uśmiechem. Adela długo za odchodzącym patrzyła; Edmund, jak zwykle, zamyślony ku wiosce postępował, ale jego oczy zwracały się mimowolnie ku chatce leśniczego, i zatrzymywał się często, aby się nacieszyć widokiem wypaniałéj przyrody.

Następnéj nocy, Edmund miał sny dziwne: widział córkę leśniczego w niebo wstępującą po promieniach słońca, biała jéj szata rozwiewała się po morzu światła, potém coraz ciemniało, a Adela z czarną zasłoną, z pobladłém licem, z gorzkim i tęsknym uśmiechem, żegnając go smutnym wzrokiem w chmurach ciemnych zniknęła. I Adela, pierwszy raz nie była zręczną posługując staremu ojcu: jeżeli czego żądał, po kilka kroć powtórzyć jéj musiał, i kładł się gniewny nieco, mówiąc: — Adelko! ty dziś jak śpiąca chodzisz. —

III.

Następnego poranka, Edmund mimo wiedzy, zwrócił się w stronę chatki leśniczego: zastał już Adelę w swoim pracującą ogródku. Spotkały się znowu ich oczy... dziewica mniéj już lękliwą była, zdawała się nawet z niejakiém zadowoleniem wpatrywać w młodzieńca. Odtąd Edmund przestał zupełnie wyjeżdżać; wkrótce zapomniany przez sąsiadów, całą widział dla siebie rozkosz, szczęście nad wyrazy, w przestawaniu z Adelą; samotna jéj chatka z leśną okolicą stała się rajem dla niego.

Dopatrzył on w umyśle Adeli wyższych zdolności, jakimi często sama przyroda uposaża człowieka. Bystre i zdrowe pojęcie dziewicy, podało mu myśl, aby się sam zajął jéj wykształceniem. Edmund, lube ustronie Adeli ozdobił, co najpiękniejszemi dziełami poetów: ale zdawało się nauczycielowi Adeli, że aby duch jego uczennicy, jak należy, swéj lot rozwinąć zdołał, należy go wnieść do téj krainy, kędy już przestrzeń ani czas nie mają żadnych granic. Adela — to dziecię przyrody, z całą siłą zapału, rzuciła się w ten świat nowy, stworzony dopiero dla siebie; wszystko, cokolwiek pałającego w piśmie znalazła, pożerała to łakomie; goniąc tak bez wytchnienia po Nieskończoności świecie, wkrótce dobiegła a może przeniosła siłą Ducha, swego nauczyciela - kochanka. Adela, urok ten cały nowego swego żywota, wszelkie powaby i skarby swéj myśli, widziała się być winną Edmundowi; to też upatrzyła w nim najdoskonalszą istotę: Bóg ją stworzył jak wszystkich zwyczajnych ludzi, ale Edmund Ducha jéj wyłamał w lot górny, i rozpostarł przed nim Nieskończoności krainę, — nie umiała więc zdać sobie z tego sprawy, kto względem niéj ważniejszego dokazał czynu w dziele jéj stworzenia, — Bóg, czy też kochanek?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRYTYKA.

Niedzielne wieczory starego Stolarza.

Powieści dla Rzemieślników

przez

autórkę odwiedzin Babuni.

Leszno i Gniezno 1843.

Literatura nasza uposażona tak biednie w dzieła dla Dzieci i dla Ludu, jakże wygląda zdatnych pracowników którzyby zechcieli pracować na téj niwie — współubiegając się tu o palmę Prawdziwéj Zasługi! — Tylko nie trzeba nam sądzić że tak to łatwo pisać dla Dzieci i dla Ludu! — »Dziecie i Lud, nieuk to jeszcze, któremu zaimponować łatwo wiadomościami naszémi« — to zdanie jednych; innym zdaje się że nic łatwiejszego jak odebrać Ludowi wszystkie wyobrażenia które on wyssał z mlekiem matki z jéj piersi, a natomiast napojić go mądrością naszą, która niestety! nam samym nie starczy! O jakże to mylne rozumowanie! jak nie oparte na znajomości dziejów i człowieka — a jakże to chcąc pracować dla człowieka, znać trzeba pierwszych rozwój, drugiego usposobienie — serce — całą istotę!

Dziecie i Lud, człowiek to w zawiązku — pełen Życia — pełen Wiary — pełen Nadziei! Biada filozo-

fowi któryby obłędném rozumowaniem przytłumić chciał iskrę żywotną, tlejącą na dnie nieskażonego jego serca — biada faryzeuszowi który mu przesąd za Prawdę podaje — w zabobon owija mu serce i rozum! Lepiéj jak mówi księga biblijna żeby uwieszono kamień u ich szyje i tak ich zatopiono na dnie morza!

Uczyciel Ludu powinien to bydź Człowiek umny, stojący na równi z Duchem Czasu, znający i złe i dobre jego strony — i nie dość na tém! Powinien on bydź człowiekiem serca — aby czego rozum nie znajdzie — uczuł sercem; a tak aby był zdolny podać mu Zasadę Moralności bezprzesądnéj, Zasadę zgodną z postępującą ideją Ludzkości i zgodną ze sercem Człowieka, a dającą się w czasie w którym żyje, zastósować wszędzie w całości; — Zasadę na któréj opierając się Lud, mógłby już daléj rozwijać się Samodzielnie, (nie samowolnie, jak tego chce wielu), jako *Człowiek* i *cząstka Ludzkości.*

Toć jest czegośmy dotąd albo nie zrozumieli, albo i zrozumiawszy poczęści, nie poczęli wprowadzać w życie. Zaległiśmy z wychowaniem dziatek, kobiet, a teraz fantastycznémi przeskoki, eksageracyją chcielibyśmy powetować to zaniedbanie: lecz człowiek nie żaba, którą samém galwanizmem przyprowadzać do życia można, a wrażeniami samémi budzony człowiek rzadko będzie Samodzielnym, pozostanie częściéj dzieckiem wrażeń. — Bo Samodzielność wyrabia się tylko przez pracę usilną nad sobą — a do téj usposabia najłatwiéj wychowanie na pewnéj Zasadzie oparte. — To o wychowaniu dziatek. — O wychowaniu Ludu ledwośmy myśleć poczęli, i to jeszcze jak?! A przecie:

Jakaż! jakaż to tam dusza
Co tym Ludem skrycie wzrusza!
I wybija w tych to pieniach,
I w tych mężkich uniesieniach
Na pobojowisku!

(Pieśń o ziemi naszéj.)

Z powyższych powodów dziełko przed nami leżące zwróciło na siebie naszę uwagę — bo pisać powieści dla Rzemieślników, chwalebny to obrać sobie Zawód — wywiązać się z tego zadania, choćby jeden tylko krok uczyniwszy istotnie przydatny — krok choć słaby ale już nam zwiastujący drugi silniejszy, — niezaprzeczoną już byłoby Zasługą.

Nie możemy niestety! słów ostatnich zastósować do dziełka niniéjszego — bo niemasz w niém nic zgoła coby było godném pochwały — owszém jest to pod każdym względem utwór tuzinkowy, bezbarwny, bezzasadny — a zatém nie pożyteczny ale szkodliwy. —

Autórka nie zna ani Ducha Czasu — ani Człowieka — ani Obyczajów naszych rzemieślników i włościan — nie zna ich sposobu życia — stopy wykształcenia na któréj stoją. — Przechodzi dla tego ciągle od poezyji do trywialności i znowu na odwrót. Jéj stolarz, około którego *siedzą wnuczęta z otwartémi oczami i uszami, a pełnemi pieczonych kartofli ustami,* opowiada im jak okrzyk mieszkańców wiejskiéj chatki »ktoś jedzie! O la Boga! zamiatajcie izbę!« »*aż o przyległe góry odbijać się zdawał i wraz z nurtami niedaleko szumiącéj Wisłoki, w dalekie ubiegał strony!*« Daléj tenże sam stary, poczciwy stolarz, powtarzając słowa malarza o *Pannie Baronównie Natalii,* następnie się wyraża: »*Miła i hoża jak prawie każda Polka, blask jéj ciemnych oczu z pod czarnych brwi i rzęsów ogniste rzucał promienie*; *purpurowe usta niewinnym okraszone uśmiechem, jéj drobniutkie i białe ząbki na wpół ukazywały, a ciemne włosów pierścienie w dwie gęste kosy strefione spadały na lekką i giętką kibić, która pod fantastycznym wbiorem średnich wieków dziewicy, jeszcze powabniejszą się wydawała.*« Jeszcze w inném miejscu, mały dziesięcioletni wiejski chłopczyna tak się tłumaczy Baronowi, jakiego tu wprowadziła na scenę autórka: »*O Panie ja tu żebrać nie przyszedłem, ojciec i matka moja są bardzo ubodzy i często nawet innéj okrasy do klusków jak maślankę nie mają, ale ojciec pracuje tęgo, matka z siostrami żywo się koło krów, drobiu i przędziwa krząta, a tak żyjemy przecie uczciwie choć nie roskosznie. Ale cóż kiedy biedny Józiu* (imie opowiadającego) *na nic im się nie przyda* (!) *i prócz ołówka i pędzli* (!) *nic nawet w ręku utrzymać nie może* (!!) *coś mi zawsze szepce do ucha »maluj a będziesz im pomagał lepiéj jak goniąc źrebięta po gródzi, albo stojąc przy ludziach kiedy sterty składają.* (?!) *Panie Baronie! ja nie mogę niczém innem bydź jak malarzem, a że mi własny mój Pan, Hrabia B. pomocy odmówił, przyszedłem błagać o nią dziedzica tutajszego, który już tylu ludziom dopomógł.*

W podobnym sposobie naciągany i nienaturalny jest styl całéj książki. Ciągle poetyczne ustępy: »*o ciemnym lazurze włoskiego nieba, o bladym widnokręgu północy* i t podobne. Równie jak styl wszystkie zdarzenia najnielitościwiéj ponaciągane i pozbawione naturalności. Jak w stylu tak i wnich nie znajdziesz żadnéj prostoty, wdzięku pociągającego, żadnéj istotnéj treści. — Charaktery osób wprowadzonych, równie prawie wszystkie nienaturalnie skreślone. — Nie miała autórka pisząc te powieści na względzie ani Uobyczajenia ani natchnienia jakimś Duchem czytelników swojich, nie miała na celu wywarcia Wpływu moralnego

na ich Umysł — i owszem obok kilku zwyczajnych, w nieodpowiedniéj, lichéj formie podanych morałków, dziełko napełnione mnóstwem zdań szkodliwych i nędznych, zgubném jest dla czytelników. — Tak według bogactw lub wystawności ceniąc ludzi, kiedy obok pana sędziego Jodłowskiego dziedzica pięknych włości etc. *zacnego wielce i poważanego bo żył wystawnie i wspaniale,* stawia autórka siostrę jego; powiada o niéj: »*Była to* także *pani Szanowna,* lubo nie tyle co jéj brat odmianę lubiąca.« W innéj powieści: »*Elżbieta Baronowa Trawińska była panią zacną i szlachetną,* jak to na każdą panią majętną przystoji!« A jeszcze w innéj powieści mały Bartoszek, który, chociaż (według wyrażenia siostry jego Jadwisi) *pchły namalować nie umie,* ale chce zostać malarzem — za non plus ultra szczęścia artysty uważa: »*że z hrabiami kiedyś będzie przestawał.*« W ogóle pokorne upadania do nóg, kłaniania się etc. stanowią istotę dziełka niniejszego, *malarz składa arcydzieła swego pendzla u stóp pani Baronowéj, ściska jéj stopy etc.* — jakiś tam chłopiec znowu się kłania do nóg, wszyscy się kłaniają, upadają do nóg — wszędzie pełno Jaśnie Wielmożnych dobroczynnych i miłosiernych, i chudych kłaniających się do stóp pachołków. —

Wykazaliśmy tu jasno, że dziełko niniejsze nie odpowiada przeznaczeniu swemu, dla tego nawet dobréj chęci autórce policzyć za dobre nie możemy, kiedy z téj dobréj chęci, grzech taki wyląg się śmiertelny. — Bo mniejsza o podawanie zdań błędnych rozumującéj klasie społeczeństwa, gdzie fałsz rozumowaniem może bydź zbity, lecz grzechem śmiertelnym jest podawać takie zdania klasie Społeczeństwa którą do rozumowania gruntownego mamy usposobiać.

Wyzujmy się więc najprzód z przesądów do końca ukochajmy Wolność, Równość, ukochajmy boską Prawdę i okiem jéj zapatrujmy się na wszystko, wniknijmy sercem i duszą w Człowieczeństwo, ukochajmy serdeczną Prostotę i Poczciwość Ludu kochanego, a potém piszmy, pracujmy, działajmy dla niego. W tenczas Praca nasza i czyn nasz będzie mu na korzyść, nam na błogosławieństwo — znajdziem po takiém spełnieniu Powinności zaspokojenie Sumienia — podczas kiedy miłosierdzie hrabiowskie, i wspaniałomyślność baronowska demoralizując Lud, bo zabijając w nim uczucie Godności Człowieka, ściągną na głowę naszę przekleństwo wieków potomnych.

Julija Woykowska.

Z KORRESPONDENCYJI.

UWAGI NAD BROSZURKĄ, Pantaleona Józefata Wołowskiego

o

Arystokracyi, Liberalizmie i Demokracyi W POLSCE.

W Poznaniu u Stefańskiego 1843.

(Dokończenie.)

Niżéj jeszcze autór utrzymuje, iż świątynią Libelizmu i Demokracyi są szynkownie i billardy — a przecież wrogowie nawet nasi uznają tę prawdę, że czysto-demokratyczne zasady, Polacy jeszcze z krwi Piastów wyssali. — Autór jakby się sprzysiągł przeciw Polakom poświęcającym się wyłącznie sprawie Ludowéj — potępia święte wyznanie wiary, nazywając Demokratów i Demokracyę — ulopiją pijanéj hałastry.

Czy pojął autór co jest Demokracya i Demokraci? to pytanie, roztrzygnę własnémi autora słowy — »Gorliwi wyznawcy Demokracyi, rzucają w Bazarze złotem za wino i karty, złotem które się wyciska z potu żywiołu Demokratycznego. — Wspaniałe cugi rozwożą Demokratów — zapisanych po jarmarkach od Odry aż do Bzury. — Ci demokraci za złe wychędożenie i opatrzenie Anglezów, nie żałują chłosty, chłopu urodzonemu Demokracie. — Gdyby nie opieka absolutnego, ale opiekuńczego Rządu Pruskiego, własność nadana włościanom, zaprawdę nigdyby nie *wyszła z Bazaru.*«

I to jest pojęcie Pana Wołowskiego o Demokracyi i Demokratach — w największych Arystokratach, widzi on żywioł przeciwny: — bo czyliż nie oczywista iż wyż wzmiankowani *tacy* kawalerowie, nie tylko że nie mają w sobie zarodka Miłości Ludowéj, lecz nadto są zarazą Moralności.

Wspomina daléj autór o burzliwości umysłów, ponczem rozgrzanych półgłówków, o terrorycznych zasadach jakie przy wdzięku kuf i kieliszków objawiają.— Są to wprawdzie ludzie wsteczno-postępowi, ludzie materjalny, oddani cielesnym żądzom i namiętnościom, ludzie którzy zwątleni, przygnębieni nieszczęsnych okoliczności szturmem, starają się zapomnieć o troskach, topiąc je w gorących napojów czarze. — Jestem jednak przekonanym, że z téj szalonéj tłuszczy gdy błyśnie gwiazda, więcéj nierównie zrodzi się dzielnych, niżli z zimnéj koteryi, co pozbawiona własnéj Woli, uniesiona stronniczych fal napływem — w chwilach świętych, rujnować zechce raczéj niż dźwigać wielkie Dzieło. — To com dopiero wyż nadmienił, nie jest celem uniewinnienia godnych pogardy indywiduów; gdyż głęboko jestem przekonany, że sama tylko Moralność, naślado-

wnictwo jako wzoru Moralności, Chrystusa, rodzi światłych prawdziwie mężów i wywołuje różnorodne geniusze — że bez téj radykalnéj podstawy, człowieczeństwo zdziczećby musiało; wszystko co jest prawem, zamieniłoby się w ironiją — słowem świat cały stałby się jaskinią występków i zbrodni. — Ależ z drugiéj strony uważając, spostrzeżemy: że brak hartu duszy, nieszczęścia, wyeksaltowane uczucia i inne tysiączne okoliczności, zachwiewają niekiedy na chwilę Moralności posadę, sprowadzają ludzi najgodniejszych nawet z drogi przez nich obranéj, wiodąc na zawiłe zapomnienia się pole: — lada jednakże przyjazna sposobność wpływa często na zaród Boskiéj iskierki, roznieca ją starannie i rozpała wielkie ognisko, ogniwem Boga i Człowieka będące.

Nie zawsze się wprawdzie dziać zwykła podobna metamorfoza, częściéj jednak, niżli między ludźmi, którzy własnego pozbawieni zdania, są tylko narzędziem cudzych intryg, do dopięcia mniéj szlachetnych celów służącém. — Terroryzm na jaki się autór uskarza, jest wprawdzie złém bezwzględném, — przestaje niém być atoli, jeśli wywołany koniecznemi okolicznościami, zostaje pod wpływem i dyrekcyą światłych i o dobro kraju gorliwych Patryotów. — Ta prawda, że żadnéj nie ulega wątpliwości, uczą nas tylokrotne historyji innych Narodów, i Ojczystéj facta — a nawet uderzmy się w piersi i przyznajmy, iż brak terrozyzmu w Polsce, był wielekroć powodem upadku najświętszych naszych Zamiarów. — Rozszerzać się i popierać przykładami moje twierdzenie, uważam za zbyteczną.

Daléj znowu autór stara się dowieść wyznawcom Zasad Ludowych iż: »Możne rody czyli Arystokracja nie pozbawia nikogo majątku, że one nie wycieńczają i nie pożerają publicznego grosza. — One to (mówi daléj) stają na czele prac, mających na celu ulepszenie materjalne i przemysłowe, tak dla dobra ogółu potrzebne. — Arystokracja przeniosła do kraju wynalazki, podniosła sztukę i wiadomość rólnictwa, pierwsza rozlała po kraju światło, i to co zewnątrz nas różne odkrycia za prawdziwe i pożyteczne wskazały, — ustaliła« — itd. itd.

Co się pierwszego twierdzenia tycze, należy wiedzieć P. Wołowskiemu że posiadanie przez możne rody ogromnych skarbów, nie tylko pozbawia biedniejszych, ale nadto, jest źródłem niewyczerpanych nieszczęść kraju. Dowieść tego, mém usiłowaniem. Naprzód powinienem jednak wytłumaczyć, że Arystokracyą być sądzę nie ludzi wyższego urodzenia, ani posiadających miljony — lecz tych, co nie otrząsnąwszy się z brudu swych Antenatów, uważają ludzi jako bydło kładąc między jednymi a drugimi rozdział krwi czysto-szlacheckiéj, lub brudno-chamskiéj, — którzy w poczciwym kmiotku widzą narzędzie do uskutecznienia swych fantazyji służące, — którzy depcąc świętéj Natury Prawa w zamian za pot krwawy biednéj klassy, dają Jéj nikczemnéj pogardy wynagrodzenia, — którzy bogactw swych używają za środki do powiększenia swego znaczenia, okrążając się kołem płatnych, umundurowanych służalców i pochlebców — którzy nakoniec usiłują w swych następcach zaszczepić podobne maksymy, zostawiając im prawem starszeństwa (ordynacjami — majoratami) majątek w tym celu, aby w odległe plemiona przekazać swój herb i nazwisko. — Otóż więc majątek w ręku takich złożony ludzi, słusznie nazwać można uszczerbkiem biednych, a jego posiadaczy....; — bo gdyby tenże majątek zostawał w innéj, cnotliwéj ręce, posłużyłby bez wątpienia do wydźwignienia z nędzy 1000ów familii, do otarcia ócz prawdziwie nieszczęśliwych ludzi, do ukształcenia znacznych mass biednéj klassy genijuszów, którzy materjalnych pozbawieni środków, giną w zapomnieniu i ciemnocie! — Cóż robi dzisiejsza nasza Arystokracja? — buduje gmachy wspaniałe, wystawia kaplice, złotem i śrebrem błyszczące, piętnując pierwsze i drugie familijnemi herby i nazwiskami, by jaśnieć w potomności; ustanawia edukacyjne fundusze dla biednych a zdatnych młodzieńców — Oj!! — prawda, są gdzie niegdzie podobnego rodzaju zakłady — ależ tytuł mające tylko powabny i szlachetny! intrygi, znajomości, wpływy są niezbędnie potrzebne, aby się na podobny fundusz dostać można; zkądże biedak, nędzarz do tak przeważnych względów wdrapać się jest w stanie? — Toż samo rzecby można i o innych zasługach czysto-arystokratycznéj klasy, zakres atoli szczupłego pisemka wzbrania mi niepotrzebujących z resztą dowodzenia, czynić uwag.

Jeszcze daléj Pan Wołowski dowodzi, że sama tylko Arystokracja, zachowuje między sobą Światła Narodowego promienie, i że tylko Demokracja tamuje jéj drogę do ulepszenia i oświetlenia mass Narodu. — »To trochę światełek (mówi autór) co błyska, trochę porządku, poloru, co widać po kraju i na mieszkańcach — ten przykrój europejski, w który się tak niezgrabnie odziewają, to wszystko oni dostali, pożyczyli, wyrwali, przyswoili sobie, od tak okrzyczanéj od nich Arystokracyi.« — etc. etc.

Nie daj Boże! abyśmy mieli przywłaszczać sobie w kraju podobne zmiany i wynalazki—owszém winienem złożyć podziękę Arystokracyi reprezentantowi, że nie kładzie na Demokrację ochydnego zarzutu, jakoby fraki i rozum frakowo-salonowy sprowadzić miała do Polski. — Bo też ona w swych wyznawcach wstydziła się zawsze wszystkiego, co tylko próżnością i bezkorzystném

trąciło naśladownictwem.— Ci albowiem mogą powierzchowności zatrudniać się czczością, którzy nad nią nic piękniejszego nie znają, — dla których dosyć jest być z Paryska wystrychniętym świstakiem i kilkadziesiąt oklepanych umieć francuzkich frazesów, aby modnym ukłonem i układnym uśmiechem, zasłużyć sobie na nazwę światowo-wykształconego panicza.

Poniżéj, — jeszcze autór narzeka na brak światła w klassie niższéj—na drobną szlachtę, która zgubiła swym wpływem Listopadowe nasze Powstanie,—ubolewa nad chylącą się do schyłku Arystokracją, przez rozdrabnianie się familii i wróży, że z jéj popiołów powstanie nowe, czerstwe pokolenie, które Polskę z grobu wywoła.

Ostatnia autora uwaga, da się porównać z walką umierającego grzesznika, który całe życie zatwardziale brodząc w występkach, przy śmierci passuje się z wyrzutami sumienia, przywodzi do pamięci pasmo swych zbrodni—żałuje za nie chwilowo—lecz wątpiąc o zbawieniu, jak żył, — umiera. — Bo upadek Arystokracji (o którym autór wspomina) o ile jest niechybnym i pożądanym dla każdego Prawego Polaka, o tyle jest koniecznym do odbudowania nowéj Polski, za żywioł mieć mającéj Miłość i Wszechwładztwo Ludu. — W to gdy uwierzy Arystokracja, gdy się o téj prawdzie szczerze przekona, zniknie nienawiść rozdzielająca wspólnéj Matki Synów, zniknie różnica stanów — a dawny Hrabia podając przyjazną dłoń dawnemu Chamowi, z rozkoszą uściśnie nowego swego Brata, błagając Go o zapomnienie uraz i prześladowania.

Panie autorze! jakaż to rajska przyszłość otwiera się Polakom,!! ileż to łez radości błyśnie w chwili przesilenia się odwiecznych błędów!—ile rumieńców, wstydem okryje nikczemnych!!

Autór za finał swego Arcydzieła, umieścił wieszcze słowa, które brzmią jak następuje: »Jeśli jest dla Polski jutrzenka, to z nią wejść musi klasa ludności, któraby ościennym kroku dotrzymała — klasa wzrosła w porządku pracy i zastanowienia. Takiéj to klassie Bóg rzuci promień ożywczéj łaski. — Ale bodajbym był fałszywym Prorokiem, ta klasa wykluje się i podniesie wtenczas dopiero; kiedy ostatnie ślady dzisiejszych Liberalistów, Demokratów, drobnéj szlachty przepadną, a czas, pojęcia i nowe na téj ziemi wzrosłe pokolenie, owe szczątki rozetrą, strawią i jak pył rozniosą.«

Oj Proroku! z niziny w przyszłość spojrzałeś, nie wzniosłeś się ani Duchem, ani nawet ciałem nad innych pospolitych Ludzi — czytaj historyję pilnie, a zrozumiesz stopniowy rozwój ideji, coraz bardziéj obejmującéj Ludzkość — zrozumiesz, że żaden postęp nie był przeskokiem, że jutro wszędzie w dzisiu ma ziarno zarodu. A. K. —

PRZYPOMNIENIE Z HISTORYJI LIT. STAROŻYTNÉJ.

Mowa posła Jerozolimskiego

do Senatu Rzymskiego.

Gdzie rząd podłych używa na swoje narzędzia,
Tam cnotliwszy sądzony, a niżeli sędzia.

Roku 73. po wzięciu od Pompejusza W. Aëcii, którą Jerozolimą zowią, posłany był od Rzymian na rządy, Walerius Gracchus, człowiek waleczny, w rządzeniu rozumny, życia przykładnego, ale w obcowaniu nieco przykry, w sądzeniu ostry; gdy się Żydzy od Rzymian nie tylko zawojowanymi, ale i źle rządzonymi bydź widzieli, wysłali z poselstwem do senatu Rzymskiego (donosząc jak nie sprawiedliwie ta prowincija jest uciśniona) jednego starego Żyda, siwizną poważnego, hebrajskiego, greckiego i łacińskiego języka doskonale umiejętnego. Ten tedy Hebrajczyk przybywszy do Rzymu, w taki sposób do senatu przemówił:

— »Gdy tak z wyroków wam sprzyjających, Ojcowie wybrani! i szczęśliwy Narodzie! posłużyła wam fortuna, albo, prawdziwiéj mówiąc, od Boga naszego opuszczeni zostaliśmy, że Jerozolima wszystkich miast azijatyckich głowa i pani, wszystkich Hebrajczyków w Palestynie matka, w haniebną niewolę i posłuszeństwo hołdownicze dostała się; Rzymowi przypadek ten do swawoli, ani nam do podziwienia okaziją być nie powinien. Wielkie były wojska wasze, któremi nas Pompejusz zwyciężył, ale daleko większe grzechy nasze, dla których od Boga opuszczeni zostaliśmy. My Żydzi w jednego wierzymy Boga, jednego czcimy, a jeżelibyśmy go tak świętobliwie czcili izby od nas nigdy nie był obrażonym; tedy tak jest dobrym, że ani w karaniu rąk Jego nie doświadczyliśmy, ani w niewolę Ludu swego (co się stało) pojmaćby wam nie dał. A zarazem chciejcie wierzyć (a daj Boże żeby was doświadczenie nauczyło!) że tak dobrego mamy Boga, iż gdyby się nawet z pięćdziesięciu tysięcy złych, dziesięciu tylko znalazło dobrych, obaczylibyście, Rzymianie! że ani wy tyranami naszymi, ani my podłymi niewolnikami nie bylibyśmy; i jak długo w grzechach leżyć będziemy, tak długo jarzmo niewoli znosić musimy, i Wy tylko tak długo naszymi ciemiężycielami zostawać będziecie.

Nie rozumiejcie, aby za zasługi dziedzicznem prawem Królestwo nasze Bóg wam oddał, ale na ukara-

nie grzechów naszych, was tyrani, wolności naszéj! zesłał. Skoro jednak nasze grzechy pokutą niewoli zagładzimy i gniew Jego powściągniemy, wtedy łaskawém wejrzy na nas okiem, że i my naszę stratę odzyskamy, i wy, coście nam rozbójniczo wydarli, oddać z wstydem musicie; i stać się to jeszcze może (co daj Boże!) że ci co drugim kajdany wkładają, jeszcze je sami dźwigać będą musieli. A że inne jest jeszcze u was o tém zdanie, tedy ani wy nas przymusić potraficie do czczenia wielu waszych bogów, ani nam sił starczy do wmówienia w was żebyście w jednego prawdziwego Boga uwierzyli.

Co do rzeczy poselstwa mego, mówić mogę, że od dawnego wieku, Rzym, pokój z Judzką zachowywał ziemią, wzajemnie Izraelitowie Rzymianom przyjaciółmi byli, tak dalece że my wam w wojnach dopomagali, i wyście nas od napadów bronili. I gdybyście tych którzy was burzą od siebie odegnać chcieli, ani Rzym byłby tyranem Jerozolimie, ani Hebrajczycy zawistnymi nieprzyjaciółmi Rzymu; i gdybyście nam byli przysłali rządców i sędziów łagodnych, gdyż nie może tam bydź długo zawziętość. gdzie zarządcy starają się sprawiedliwością zaszczepiać pokój i zgodę. Ale jeżeli ciągle jak nieprzyjaciele, uciśnionych gnębić będą, już tam nie wody do przygaszenia ognia, ale oleju do większego zapalenia przylewają.

Dla tego to nadmieniłem, Rzymianie! że po Archelausie, Heroda wielkiego synie na wygnanie posłanym, gdyście Pomponiusza, Arniusza, Marka i Walerijusza na rządców i sędziów przysłali, oni jak zarażające powietrze, z czterech stron, tak ubogi lud uciskali, i tak byli do niszczenia nas usposobieni, że dosyćby jednégo było takiego samowładcy, na zburzenie całego Rzymu, a nie dopiero biednéj Palestyny! Czyż może być coś szkaradniejszego, jak sędziowie do znoszenia niecnot i karania występków przez was przysłani? Sami są wynalazcami występków i niesprawiedliwości. Cóż może bydź większą hańbą Rzymowi, jak to że ci którzy stósować się jak najdoskonaléj powinni do praw i sprawiedliwości, ci stają się hersztami zbrodni i zdzierstw największych? Czyż może bydź oczywistsy, waszéj zawziętości a ich srogości dowód, nad pospolite u nas przysłowie: — »Rzymscy złodzieje, naszych wieszają złodzieji.« Cóż daléj? — oto że małą karę zbójcom co publicznie po drogach rozbijają wymierzyć potrzeba, jeżeli ich z tymi porównać przyjdzie, którzy domy i majątki nasze pod zasłoną praw łupią.

O, jak zawzięte były tego dnia na nas wyroki Boskie, gdyśmy się w jarzmo niewoli dostali! Nie tak łotrów, nie tak ognia pożarem palącego, Barbarzyńców kraj plondrujących, zarażającego powietrza i saméj w niém śmierci, — jak waszych Sędziów i Rządców lękać się nam przychodzi. Wy bowiem ojcowie wybrani, posadzeni jesteście w senacie, żebyście przykładném życiem, dobremi zwyczajami, umiejętném pomiarkowaniem nad wszystkich doskonalszymi byli; ale w tém dopiero zajaśnieje wielkość wasza, jeżeli nie wszystkie baśnie (przed podłych szpiegów donoszone) za Artykuły Wiary przyjmować będziecie. (Niechaj umieram jeżeli klamię!)

Wy bowiem Rzymianie możnością i siłami mocniejsi, od słabszych ludzi brzydzicie się przyjmować rady, czegoby czynić nie wypadało, gdyż — rozumiéj i miéj, — nie zawsze w jednéj parze chodzą. Za tyle nauk które Żydzi od Rzymian przyjęli, tę jednę wzajemnie Rzymianie odemnie miejcie! to jest: królestwa te które krwi wylaniem zagrabione przez was zostały, nie wymuszaniem krwawego potu z ludu wam hołdującego, ale łaskawością i sprawiedliwością sędziowie wasi niech rządzą.

Napominajcie i rozkazujcie rządcom waszym, aby sprawiedliwość i dobre uczynki swoje, na dobro ludu obracali, nie zaś, ręce do nabycia skarbów sposobniejsze mieli, i na czci tych od których są przysłani, wstyd, tym którymi rządzą, nędzę i rozpacz przynosili.

Wierzcie i wto, Rzymianie, że powaga rządców i sędziów waszych, przez sprawiedliwość tylko może być ustaloną, albowiem rządy sprawiedliwe, zniewalają ludzkie umysły, — niesprawiedliwe, najpowolniejszych, hardymi i nieposłusznymi czynią.

Jeżeli tedy królestwo nasze, którego zagrabienie tyle was kosztowało, zatrzymać i zachować chcecie, — sprawiedliwość nam zupełną nienaruszoną zachowywajcie, rządców dajcie nam sprawiedliwych; a tym bezpieczniéj w naszym kraju rządzić będziecie, jeżeli małych naszych przekroczeń nie będziecie tak ostro karać, tedy i wasze nad nami samowładctwo znośniéjszém być nam może. Tak tedy kończąc skargi moje, niechaj umieram kłamcą, jeżeli nie są sprawiedliwe! — Wy zaś umierajcie niewolnikami, jeżeli nam sprawiedliwości nie wymierzycie.« —

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*